

# WYLĘGARNIA

*Czyli mroząca krew w żyłach historia o tym, jak geodeta Serafin otrzymał tytuł doktora *horroris causa* Politechniki Warszawskiej*

**Damian Czekaj**

W pierwszej chwili – półprzytomny, z oczami zapuchniętymi tak, że miast znajomych kształtów widziałem tylko przeświecone plamy – pomyślałem, że to inwazja saturiańskich ośmiornic, którą od dawna zapowiadał ten rudy szaleniec sprzed Złotych Tarasów. Później, że ktoś wrzucił granat odlamkowy do bębna betoniarki siłowej. Dopiero kiedy ponad metaliczny jazgot wzniosł się krzyk, odetchnąłem z ulgą i głębiej wbiłem się w przyduży śpiwór wymoszczony chyba z pół tuzinem koców. To tyciroboty musiały znów rzucić się na śmieciarza. A przecież mówiłem mu, żeby na razie nie zaglądał do kontenera z elektroodpadami. Te małe paskudy załęży się tam przed tygodniem, atakowały Bogu ducha winnych przechodniów wabione sygnałami elektromagnetycznymi ich urządzeń i końcówek mobilnych, a co gorsza płoszyły mi klientów. Próbowałem je wytruć, ale z mizernym skutkiem. Podrzucone w tym celu akumulatory – wcześniej solidnie napromieniowane, że aż świeciły w ciemności – zeżarły ze smakiem; zestarzały olej wysorbały do ostatniej kropelki.

Będę musiał wezwać kogoś, kto zrobi z nimi porządek. Ale nie teraz.

Wczoraj, kiedy najpierw w terenie, a później przy dwóch butelkach bimbru starałem się przekonać zwaśnione strony do podpisania protokołu granicznego, tyciroboty dobrały się do systemu klimatyzacji, urwały jakiś zawór. To dlatego ostatnią noc – dręczony pulsującym bólem głowy – spędziłem owinięty w ciepłe koce i śpiwór.

Śmieciarz nie przestawał krzyczeć. Jezu, mam nadzieję, że go nie mordują – pomyślałem, naciągając jeden z koców na głowę. W końcu chyba się zapowietrzył albo uciekł – zrobiło się cicho. Nie słyszałem też charakterystycznego zgrzytu tycirobotycznych przegubów. Już zacząłem się łudzić, że prześpiję jeszcze godzinkę lub dwie, kiedy odezwał się dzwonek przy służbie wejściowej. Poczuliem się tak, jakby ktoś wpakował mi śrut prosto w mózg. Znów przemówiły tyciroboty – terkocząc, chrzęszcząc.

– One chcą mnie zabić! – Usłyszałem przytłumiony szept, gradziami wewnątrz i miękkim kocem wrzask.

W takich warunkach nie dało się spać. Klnąc pod nosem, wygrzebałem się z barłogu. Zachwiałem się lekko i poszedłem do łazienki; chłodne powietrze cuciło, na odkryte przedramiona wypełzła gęsia skórka. Obmyłem szybko twarz i spojrzałem w lustro. Ubranie, choć wymięte, na szczęście było czyste. Co do reszty – nie wiem, czy własna matka by mnie poznała.

Ofiarą tycirobotów okazał się nie śmieciarz, a mój sąsiad z naprzeciwka – młody chłopak irytująco sympatyczny, zawsze uśmiechnięty, z głową pełną absurdalnych porównań. „W tym słońcu pana rakietą wyglądała niesamowicie! Jakby sam archanioł Gabriel zstępował z nieba!” – tłumaczył mi raz, śmiejąc się głośno, a ja zastanawiałem się, po co mu czapka z daszkiem, skoro przed udarem ciepłym najwyraźniej go nie chroni. Tego parszywego poranka po spotkaniu z mechanicznym drobiazgiem wyglądał niewiele lepiej ode mnie, co skonstatowałem nie bez pewnej satysfakcji.

Nie czekając, aż śluz odsunie się do końca, precyzyjnie się bokiem do środka, nieomal mnie przewracając.

– Pan zamyka szybko! – kwiknął nerwowo, łypiąc wokół rozbieganym wzrokiem. Chyba spodziewał się ujrzeć kolejne tyciroboty szczerzące przerdziewiałe kły z ciemnych kątów sien. Na sobie miał holograficzną animowaną bluzę, istny koszmar epileptyka, która trupioblada twarz barwiła mu na tęczowo. Maszerujące tachimetry na statywach przelewały się w drony

i satelity; te rozpadały się w roje nanobotów, by w końcu zestalić w kulę ziemską poprzecinaną siatką południków i równoleżników. Aż oczy krwawiły od patrzenia. I jeszcze te napisy na torsie i rękawach – błyskające wściekle jak neony w Ustce. „Z GEOIDĄ sięgniesz gwiazd!”, „Zmierz się z nami z geodezją”, „Geodeci arystokracją...”. No tak, chłopak kształcił się na geodetę.

– Co tu robisz? – Dalej nie mogłem przypomnieć sobie jego imienia.

– Nie wiedziałem, że są tak agresywne! – Ja też nie, pomyślałem. Patrzył na mnie z wyrzutem i dyszał tak, jakby dopiero co wniósł skaner grawitacyjny na piąte piętro. – Inaczej... Bo wie pan, mam do pana sprawę.

Przeszliśmy do kuchni. Nalałem nam po szklance wody. Gdy łykałem tabletki



przeciwbólowe, chłopak przyglądał mi się badawczo. Powiedział, że strasznie u mnie zimno, jak w bazie na Hoth. Odpowiedziałem, że tak lubię. Usiadłem za stołem; dzielił nas blat brudny jak jasna cholera.

– Jeden z robotów miał chyba sygnalizator laserowy zamiast głowy. Podobny pokazywali nam na zajęciach.

Drgnąłem, w pierwszym odruchu chcąc rzucić się na ratunek sprzętu. Szybko jednak odegnałem tę myśl. Czułem, że ledwo oderwałbym się od krzesła, padłbym ciężko na podłogę.

– No tak, szabrują magazynek – mruknąłem tylko, zrezygnowany. Przecież nie mogły wynieść nic poza kilkoma leżącymi luzem drobiazgami, pocieszałem się.

– Trzeba gdzieś to zgłosić! – Mój sąsiad najwyraźniej doszedł już do siebie i pragnął zemsty.

– To jest ta sprawa, z którą przyszedłeś?

– Mam znajomego, który zajmuje się takimi robotami.

– Potrafi je wytruć?

Na bluzie chłopaka przesunął się napis „Politechnika Warszawska”, mrugając pomarańczowo.

– Nie wiem. Ich się chyba nie truje...

– Nieważne – uciąłem. Narastające pulsowanie w skroniach było jak sygnał radaru ostrzegający przed zbliżającą się przeszkodą. – Czego chcesz? Widzę, że bystry z ciebie dzieciak. Domyślasz się chyba, że nie czuję się... aaach... – Z piersi chłopaka wychyliła czyjaś pomarszczona głowa, całkiem przestrzenna, i przez chwilę kołysała się nad blatem stołu. „Profesor...” – nie zdążyłem przeczytać. Ta pieprzona bluza doprowadzi mnie do szału!

– Taaa... – bąknął; nie zwracał uwagi ani na wybryki swojej bluzy holograficznej, ani na moją rosnącą irytację. – Matka widziała w nocy, jak pan opadał na lądowisko po jakiejś zważonej pętli. Jak pelikan z przetrąconym skrzydłem. Myślała, że to awaria systemu naprowadzania rakiety. – W pewnym sensie tak było, pomyślałem cierpko.

Minęło jeszcze kilka długich minut, nim w końcu wyduślił z siebie, po co przyszedł. Otóż chciał odbyć w mojej firmie kilkutygodniowe praktyki. Może gdybym był w formie, parsknąłbym śmiechem. Ale nie byłem. Odpowiedziałem tylko, że się zastanowię.

– Co? – Chłopak nachylił się ku mnie chyba zdezorientowany moją letnią reakcją.

Podniosłem się ostrożnie i poprowadziłem go do bocznego wyjścia, zapewniając, że jak szybko przemknie wzdłuż ściany na ulicę, tyrcyboty nie powinny go dopaść.

– A co z praktykami? – jęknął błagalnie.

– Daj mi kilka dni.

Dopiero wczesnym popołudniem, z grubsza wyspany, rozbudzony mocną kawą i przysnuciem, zorientowałem się, że wpuścił mi do systemu mieszkania wirusa ze swoim numerem telefonu i prostą aplikacją, która co kilka godzin wzywała do nawiązania kontaktu. Nawet nie wiem, w którym momencie mógł to zrobić.

\* \* \*

– Nie sądzisz chyba, że nadal będzie zainteresowany praktykami. Po tym wszystkim. Spłoszyłeś go, stary.

To się dopiero okaże, pomyślałem. Chłopak chce mieć po prostu blisko do pracy, dlatego przyszedł do mnie. Może słyszał, że ostatnio nie mam zbyt wielu zleceń i liczy na to, że bez trudu wyszarpię parę godzin wolnego, albo tydzień, na randkę czy polowanie na stokach Olympus Mons.

Mój kolega Marek był dzisiaj w podłym nastroju. Właśnie dowiedział się, że nie udało mu się zdobyć zlecenia na skanowanie powracającej komety Halleya.

– Ci złodzieje z Pruszkowa zrobią to za pół ceny! Nie wiem, jak tam doleca, chyba na miotłach. Paliwo rakietowe tak przecież poszło w górę.

Przed wieczorem i spotkaniem z Markiem zabrałem jeszcze do magazynku ze sprzętem. Skrzynie z kulkami antygravitacyjnymi stały nienaruszone, podobnie jak walizki z ciężkim sprzętem pomiarowym. Parę palików i tytanowych trzpieni poniewierało się po podłodze. Poza tym... w ścianie ziała wielka dziura o nadtopionych krawędziach, jak wyżarta kwasem. Przez otwór widziałem kawałek nieba, ulicę i otwarty kontener z hardware'owym śmieciem wylewającym się na chodnik. Jeszcze mi wlepią mandat. Podskoczyłem, gdy z kontenera wypadł pękaty 30-centymetrowy tyrcybot. Gubiąc po drodze śrubki, podreptał do stojącej od frontu tablicy z napisem „USŁUGI GEODEZYJNE”. Przesunąłem się nieco, by go lepiej widzieć. Stalowy szkodnik wysunął z brzucha teleskopowe ramię zakończone trzema palcami – dzierżył w nich kawałek kredy, i zaczął coś bazgrać po tablicy. Z początku zaskoczony, później już tylko z narastającym przerażeniem obserwowałem, jak spod tyrcybotycznej łapy wyłania się, kryjąc mój szyld, całkiem udatny rysunek czaszki i skrzyżowanych piszczeli.

– Wiesz co, nie zależy mi na praktykancie – odburknąłem, a Marek zarechotał kpiąco. Żaden normalny geodeta nie zrezygnuje z darmowego pomocnika, zdawał się mówić jego śmiech.

– A mi tak. Może podesłałbyś go do mnie? Mam zakontraktowany podział działki po ciemnej stronie Księżycy. To ciekawa robota.

– Nie tak ciekawa jak skanowanie Halleya.

– Stul pysk! – ryknął.

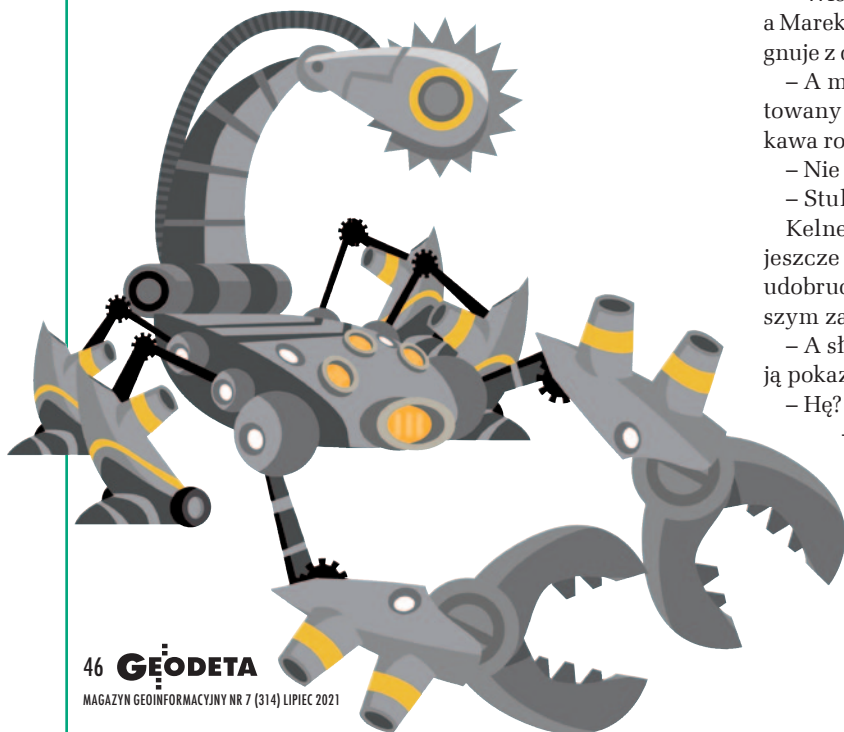
Kelnerka posłała nam lodowate spojrzenie. Wzięliśmy po jeszcze jednym piwie i kebabie na cienkim cieście, żeby ją udobruchać. W lokalu było pustawo, więc zaraz wróciła z naszym zamówieniem.

– A słyszałeś, że na Politechnice znów się coś wylęgło? Mają pokazać w przyszłym tygodniu na specjalnej konferencji.

– He? – Ostry sos ściekał mi po brodzie.

– Ichni kompilator materii, ten szalony, geodezyjny, znów coś wypuł. Nie słyszałeś? – Marek skrzywił się zdegustowany.

Nie studiowałem na Politechnice Warszawskiej, a sprawami nauki interesowałem się w niewielkim stopniu. Oczywiście wiedziałem, co to jest Wylęgarnia, ale nic poza tym.





– Coś tam słyszałem – rzuciłem prędko, robiąc kolejnego gryza. Przez cały dzień nic nie jadłem, dopiero teraz wrócił mi apetyt.

Marek wpatrywał się we mnie natarczywie, skubiąc prawą brew. Z trudem przełknąłem duży kawałek kurczaka.

– No co?!

– Mógłbyś go zapytać.

– Jezuuu! – warknąłem rozdrażniony. – Kogo?

– Tego chłopaka, żeby załatwił ci wejście na konferencję.

Przecież studiuję na Politechnice, prawda? Po prezentacji ma być konkurs. Kto zgadnie przeznaczenie nowego wynalazku, może liczyć na niezłą kasę. A wiesz, kiedyś mieliśmy cię za najbystrzejszego z naszej paczki. No, jednego z bystrzejszych.

Marek zaczął mi tłumaczyć, że Geodezyjny Samoświadomy Kompilator Materii, w skrócie Geo-SaKoMator, zajmujący jeden z korytarzy i przyległe sale na parterze Gmachu Głównego Politechniki Warszawskiej, tak zwaną Wylęgarnię, od dawna nie przejawiał już większej aktywności. Zwoje kabli i twarde dyski powoli pokrywały się kurzem, a rozproszone jednostki pamięci – jedną po drugiej – dopadała demencja. Wydawało się, że kompilator po cichu zemrze, a do opuszczonych niegdyś pomieszczeń Wylęgarni powrócą rozkrzyczani studenci. Stało się jednak inaczej. Geo-SaKoMator wydał na świat kolejne dziecko, a władze Wydziału Geodezji i Kartografii PW postanowiły zrobić z tego PR-owe wydarzenie – stąd ta konferencja i konkurs. Chyba liczą na to, że Geo-SaKoMator i geodeci znów zawitają na pierwsze strony gazet i serwisów informacyjnych.

– Wiesz, co zawdzięczamy Wylęgarni? – ciągnął Marek. – Na przykład automatyczny detektor działek niezgodnych z dyrektywą i rozporządzeniami. Geo-SaKoMator sam to opracował bez żadnych wytycznych z zewnątrz. Oczywiście przez lata naprodukował też całą masę śmiecia...

– Myślisz, że nadal nie wiedzą, co im się tym razem wylęгло? Może dlatego ściągają jajogłowych na konferencję. A ten konkurs – to coś poważnego?

Marek wzruszył ramionami.

– Chyba mógłbyś się łatwo przekonać. Jedno wiem na pewno – nagroda jest prawdziwa.

Marek namącił mi w głowie. Przez resztę wieczora i poranek następnego dnia zamiast o nowej robocie i pladze tyrciobotów myślałem o Wylęgarni. W końcu dałem za wygraną – postanowiłem zadzwonić do mojego sąsiada, kandydata na praktykanta. Choć zdecydowanie wolę pracować sam, jakoś ściępię go przez parę tygodni.

– Słuchaj... Eee... Jak ty w ogóle masz na imię?

\* \* \*

Konferencja rozpoczęła się z 15-minutowym opóźnieniem. Nim głos zabrał rektor, na podium wpadło kilku mężczyzn z towarzyszącymi transparentami w rękach. Na październikowych płytach czerwoną farbą wymalowane mieli hasła: „NADCHODZI CZAS MIERNICZYCH PRZYSIĘGLYCH!”, „ŻĄDAMY SAMORZĄDU ZAWODOWEGO!”, „DOŁĄCZ DO ZWIĄZKU MIERNICZYCH POLSKICH”. Dziwne, myślałem, że już dawno zostali zdelegalizowani.

W Dużej Auli Gmachu Głównego Politechniki Warszawskiej w zasięgu mojego wzroku nie było ani jednego wolnego miejsca. Pod barwnym geometrycznym świetlikiem zgromadziło się chyba z dwieście osób. Drugie tyle głów wychylało się z otaczających aulę krążanków. Między rzędami krzesel przemysłowi jacyś młodzi ludzie w jaskrawopomarańczowych uniformach, zapewne studenci, rozdający ulotki – „Historia WGiK PW”, „Trzy dekady Geo-SaKoMatora” – oraz kupony konkursowe. Spojrzałem na niewielki kartonik – prosili o podanie imie-

nia, nazwiska, numeru telefonu i przeznaczenia wynalazku, który miał być dziś prezentowany. Miejsca nie było zbyt wiele. Planowałem dość rozwlekły, a zarazem mglisty opis – a nuż z czymś trafię i dostanę wyróżnienie. Trudno, będę pisał małymi literami. Po wszystkich kupon należało wrzucić do urny stojącej przy schodach przed wyjściem z auli.

Po przemówieniach rektora, pani dziekan i głównego geodety kraju na podium weszła dyrektor Instytutu „Wylęgarnia” Irena Jork, która, jak wyczytałem w jednej z ulotek, doktorat, habilitację i profesurę uzyskała, publikując kolejne prace na temat życia uczuciowego i zwyczajów Geo-SaKoMatora. Miała przedstawić rys historyczny. W upięścionej dłoni trzymała gruby plik kartek.

– Jak dobrze pamiętamy – zaczęła silnym głosem, uciszając szeptaczy i nie zerkając nawet do notatek – w 2022 r. części powiatowe i wojewódzkie państwowego zasobu geodezyjnego i kartograficznego scalono z zasobem centralnym. Wszystkie dane, przez dziesiątki lat tak mozolnie pozyskiwane, modernizowane i cyfryzowane, trafiły na nowe serwery w piwnicach Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii. Powstał wówczas wszechzasób geodezyjny i kartograficzny – WszechGiK.

W jednym z pierwszych rzędów zauważyłem Wiktoryna, mojego sąsiada. Miał na sobie klasyczną statyczną marynarkę w drobną kratkę. Chłopak okazał się zastępcą prezesa Stowarzyszenia Studentów WGiK PW „Geoida”. Czułem, jak się puszysy, kiedy kilka dni wcześniej mówił mi o tym przez telefon. Zaraz potem zapewnił mnie, że jeszcze dziś zdobędzie dodatkowe zaproszenie na konferencję. „Użyję wszystkich moich wpływów!” – terkotał uradowany. Ja w zamian, zaciskając zęby, obiecałem, że przyjmę go na praktyki; szczegóły mieliśmy omówić później. Nim się rozłączyłem, zapytał mnie jeszcze o tyrcioboty. Odparłem, że ostatniej nocy z kuchni zniknął mi toster, to najpewniej ich sprawka. „Powiedziałem o tyrciobotach koledze z Wydziału Robotyki Humanoidalnej. Chyba kogoś do pana wysłał, panie Serafinie. Łowcę androidów, jak z tego starego filmu” – gadał i chyba nie zamierzał szybko skończyć. Uratował mnie jakiś wykładowca Wiktoryna, może ten z bluzy, który huknął wściekle, aż nawet ja usłyszałem, żeby zaraz wyłączył telefon, i na tablicy pokazał, jak się przemaża dwa krakowiany.

– Cały system działał bez zarzutu przez kilka lat – kontynuowała profesor Jork – do czasu kolejnej nowelizacji *Prawa geodezyjnego i kartograficznego*, zwanej Czarną Nowelizacją, i nowych rozporządzeń w sprawie *katastru nieruchomości* oraz *wszechzasobu geodezyjnego i kartograficznego*. Nie będę się wdawała w szczegóły, tłumaczyła, co poszło nie tak w trakcie procesu legislacyjnego. Przypomnę tylko, że akty te narzuciły nowe formaty i modele danych, ponoć idące z duchem cza-





su. Cały WszehGiK czekała więc kolejna konwersja. Miała ją przeprowadzić samoucząca się aplikacja neuronowa wyłoniona w konkursie ogłoszonym przez GUGiK. Po trzech tygodniach od wpuszczenia na serwery konwerter zadławił się jednak historycznymi danymi o średnicach studzienek kanalizacyjnych. Raporty o kolejnych błędach zaczęły spływać lawinowo. W końcu doszło do implozji całego zasobu i uzyskania przez WszehGiK samoświadomości. Kopie zapasowe, oczywiście, przetrwały, ale i tak nie uniknęliśmy trwającego kilka miesięcy ogólnokrajowego paraliżu. Wtedy to właśnie zesłaliśmy z niebezpiecznej, jak się okazało, drogi ku pełnej informatyzacji geodezji.

Myslałem, że zniosę jajo, słuchając tego wszystkiego. Zresztą nie tylko ja nudziłem się śmiertelnie. Jeden starszy pan przede mną już po 5 minutach przemówienia rektora założył sobie gogle VR ze słuchawkami i teraz co chwila parskał śmiechem. Siedząca obok niego wysuszona kobieta w różowych okularach połówkach to złościła się na chichoczącego mężczyznę, posyłając mu zabójcze spojrzenia, których przecież nie mógł dostrzec, to ziewała przeciągle, dyskretnie zasłaniając usta wachlarzem.

– Po wielu latach serwery z WszehGiK-iem, który w ogóle nie chciał współpracować z urzędnikami GUGiK-u, za to chętnie wyłączał światło w gabinecie głównego geodety kraju, przejął Wydział Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej – ciągnęła dyrektor Instytutu „Wylegarnia”. – Umieszczony na parterze w Gmachu Głównym, to właśnie tamten korytarz – wska-

zała na czarne okute drzwi po swojej lewej stronie – WszehGiK podstępnie opanował wydziałowy kwantowy kompilator materii. Wykorzystując posiadaną wiedzę i dane geodezyjne, zaczął tworzyć niesamowite wynalazki. Niektóre z nich na zawsze odmieniły oblicze naszej branży. WszehGiK stał się Geodezyjnym Samoświadomym Kompilatorem Materii.

Kolejną prelekcję, o epokowych odkryciach Geo-SaKoMatora, przedrzemałem z półprzymkniętymi oczyma. Ożywiłem się dopiero przed wielkim finałem, gdy dziekan Wydziału Geodezji i Kartografii PW – niska, krótko obcięta kobieta w szmaragdowej todze – wniosła na podium małe zawiniątko, wielkości może kostki Rubika. Postawiła je na półtorametrowym postumencie, tak żeby każdy w auli mógł je dobrze widzieć. Odsłonięcie nastąpiło przy pierwszych nutach Hymnu Geodetów, zaintonowanego przez Chór Akademicki Politechniki Warszawskiej. Nowe dziecko Geo-SaKoMatora załśniło na dużym telebimie.

Wynalazek wyglądał niepozornie. Przypominał gładką puszkę konserwową z trzema czarnymi plamkami na wieczku. Może były to otwory? Obiektywy? I tyle. Nie kojarzył mi się z żadnym współczesnym czy historycznym przyrządem geodezyjnym. Ten konkurs to jakaś farsa! Po auli rozszedł się pomruk – nie wiem czy ekscytacji, czy też raczej rozczarowania.

Już chwyciłem za długopis i kupon konkursowy, kiedy do postumentu podszedł jakiś człowiek z miarką laserową w dłoni. Szykował się oficjalny pomiar.





Chwilę później w Dużej Auli Gmachu Głównego zaczęło gasnąć światło.

\* \* \*

Skądś zerwał się wiatr, a w oddali zawył wilk. Trzeba było brać nogi za pas jak inni, a nie zgrywać bohatera – myślałem gorączkowo. Jasne ściany szybko nabierały wilgoci i kolejnych dziesięcioleci, pokrywając się plamami zrudziałych porostów. Gdzieś spód spękanego tynku wyzierały cegły ciemne jak zakrzepła krew. Biegłem korytarzem, ślizgając się po warstwie nadgniętych liści. Chyba byłem na trzecim piętrze. Miałem popiersie oplecione zwojami bluszczu i szklane gabloty do połowy wypełnione brudną wodą; na powierzchni unosił się papierowy szlam, niżej zaś śmigały małe rybki o rubinowych łuskach i ząbkach cienkich jak szpilki.

W całym Gmachu Głównym Politechniki Warszawskiej śmierdziało niczym w wenusjańskim porcie.

Gdzieś z przodu mignęły mi jasne włosy i jasna sukienka asystentki profesor Jork. Przyspieszyłem, krzycząc, żeby na mnie poczekała. Zniknęła na klatce schodowej. Może pomyślała, że po piętach depcze jej wilkołak.

Kiedy Duża Aula zaczęła się zmieniać, światło przygasać, a powietrze psuć, z miejsca w pierwszym rzędzie poderwała się młoda dziewczyna i podbiegła do profesor Ireny Jork. Zaczęła jej coś tłumaczyć, gestykulując ekspresywnie. Nazwa-

łem ją w myślach asystentką profesor Jork. Po chwili kobiety klóciły się w najlepsze. Nie zwracały uwagi na strzępy pajęczyn spływające z góry, przypominające ruchliwe meduzy w morzu, czy ciężkie bordowe zasłony, które zawisły nagle w otaczających nas arkadowych łukach. Poczuliśmy się jak w wielkim gotyckim zamczysku.

Pierwsze okrzyki zebranych były ciche, cokolwiek nieśmiałe. Uczestnicy konferencji najwyraźniej nie wiedzieli, czy wypada już wrzeszczeć ze strachu. Może transformacja gmachu była zaplanowana i stanowiła część prezentacji? Wtedy mocno by się wygłupili. Sam również byłem zdezorientowany, poza tym kielkowała we mnie złość. Coś czułem, że z konkursu nici, a przecież tylko z jego powodu zdecydowałem się tu przyjść i przesiedziałem pięć godzin, nudząc się, z trudem walcząc ze snem.

Panika wybuchła, gdy spod szklanego sufitu spadło na nas stado nietoperzy o krwistoczerwonych oczach i pożółkłych zębach. Spokój zachowała tylko asystentka profesor Jork – wbiegła na podium i chwyciła mikrofon.

– Proszę państwa! – krzyczała. – To tylko iluzja Geo-SaKoMatora! Nie ma się czego obawiać! Zostańcie...

Ładna mi iluzja, co szarpie za włosy jedną z chórzystek – wyjątkowo zawzięty nietoperz zatopił pazury w długich blond lokach i ani myślał puścić.

– Zaraz wyłączę zasilanie... – Mikrofon zapiszczał wysoko i umilkł. Dziewczyna rzuciła go na podium i pognała za scenę, nie zważając na złorzeczącą płacząciew profesor Jork.

Nie wiem, dlaczego za nią pobiegłem. Marek zapewne by powiedział, że zadziałał jeden z pierwotnych męskich instynktów – zobaczyłem piękną kobietę mającą samotnie stawiać czoło nieznanemu, więc niewiele myśląc, ruszyłem z pomocą z rycerskim entuzjazmem.

Asystentka profesor Jork rzeczywiście okazała się asystentką profesor Jork i na imię miała Alicja. Dopadłem ją dopiero w małej salce gdzieś na pierwszym piętrze. Wcześniej musiałem uciekać przed gibką upiorzycą i jeźdźcem bez głowy; niemal utonąłem w lotnych piaskach czarnych jak węgiel.

Przestraszona dziewczyna zamachnęła się kijem od szczotki, gdy tylko pojawiłem się w drzwiach. Ledwo zrobiłem unik.

– Słuchaj – wysapałem. – Chciałbym ci tylko pomóc.

– Jesteś prawdziwy? – zapytała, jak mi się w pierwszej chwili wydało, całkiem bez sensu.

– Tak sędzę – odparłem głupio.

Asystentka profesor Jork przez moment przyglądała mi się krytycznie, jakby oceniała, czy będę mógł się do czegoś przydać. Pod jej taksującym spojrzeniem czułem się nieswojo.

– Dobrze – powiedziała w końcu, uśmiechając się lekko. – Geo-SaKoMator zwariował. Ten cały horror to jego sprawka. Wystarczy odciąć mu prąd, a koszmar się skończy. Przynajmniej mam taką nadzieję. Wyłączyłam już kilka punktów zasilania. Została ta wtyczka. – Odsunęła się nieco i w słabym świetle wpadającym z korytarza zobaczyłem gruby kabel wystający ze ściany. – Ani drgnie.

Na słowni ostatnio byłem ładnych parę lat temu, ale praca w terenie też potrafi nieźle dać w kość. No dobra, Serafin, dopingowałem się w duchu, tylko się nie skompromituj. Podchodzę, staję w lekkim rozkroku, chwytam, ciągnę... Jasna cholera!

– Uważaj!

Oderwałem się od kabla jak oparzony i odwróciłem. W drzwiach na dwóch łapach stał wilkołak – czarny i kudłaty, tylko oczy lśniły bursztynowo. Warczał basowo z głębi szerokiej piersi, z długich kłów na podłogę skapywała gęsta ślina.

Serce podeszło mi do gardła, a żołądek wywinął kozła.

– Wyciągnij ten kabel! – krzyczała Alicja. – Teraz!

Tego już było za wiele. Jestem zwykłym geodetą, a nie bohaterem filmu fantasy! Wkurzony chwyciłem ponownie za kabel. Puścił!

Coś się zmieniło, w pierwszym momencie nie wiedziałem jednak co. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to światło – znów zrobiło się jasno. Asystentka profesor Jork śmiała się, bijąc mi brawo, a wilkołak rozwiął się w chmurze pyłu.

\* \* \*

– Zobacz, Marek. – Podałem mu dyplom. Oprawiony w delikatną czerwoną skórę wzbudzał mój zachwyty, ilekroć nań patrzyłem.

Marek przyglądał się przez chwilę, burcząc coś pod nosem.

– Czyli jednak... Nie wiedziałem, że za pomoc w wyciągnięciu wtyczki z gniazdka nadają tytuł doktora honoris causa.

– Naciągnęli trochę przepisy. Zresztą... Przyjrzyj się dobrze.

Zmarszczył brwi i raz jeszcze skupił wzrok na tytułowej karcie, pełnej obcych słów i roślinnych ornamentów. Nagle na twarz wypełzł mu szeroki uśmiech.

– Ej, tu jest napisane „horraris causa”!

Pokiwałem głową.

– To sprawka Geo-SaKoMatora – zawyrokował szybko.

– Tak myślę. Po paru dniach znów go włączyli, więc mógł się dostać do maszyny drukującej. Alicja powiedziała, że od zawsze miał dość specyficzne poczucie humoru.

Marek zapytał, czy zamierzam zgłosić ten błąd i poprosić o nowy dyplom. Odparłem, że w takiej wersji podoba mi się nawet bardziej. Raz jeszcze spojrzałem na dyplom nadający mi tytuł „doktora horraris causa Politechniki Warszawskiej” i schowałem go do plecaka. Popchnąłem dźwignię startu i poderwałem swoją diamentową raketę z płaskiego lądowiska na placu Politechniki. Zabrałem Marka na spotkanie z rektorem, bo chciał się na własne oczy przekonać, że Gmach Główny wygląda jak dawniej, a po wystroju grozy nie ma śladu.

Konkurs, w którym należało odgadnąć przeznaczenie nowego wynalazku, jednak doszedł do skutku. W następnych dniach po konferencji można było przyjść do Gmachu Głównego PW i wrzucić do urny wypełniony kupon. Ja napisałem tylko: „Idealny na imprezę halloweenową geodetów”. Niestety, nie wygrałem, ani zresztą nikt inny. Dopiero dwa dni przed wręczeniem mi dyplomu „horraris causa” zespół profesor Ireny Jork ogłosił, że nowy wynalazek to Antypomiarowy Generator Wymiarów Grozy – całkiem nieprzydatny, bo stanowiący zaledwie przedłużenie Geo-SaKoMatora, a nie samodzielny instrument.

– Gdy w pobliżu Antypomiarowego Generatora Wymiarów Grozy ktoś wykona jakiś pomiar geodezyjny, na przykład miarką laserową, Geo-SaKoMator rozpoczyna przemianę otoczenia – mądrzyłem się, bo wczoraj rozmawiałem z Alicją, a siedzący obok mnie w rakiecie Marek słuchał uważnie. – Z pomocą kompilatora materii i miliardów mikroskopijnych robotów tworzy środowisko jak z horrorów i powieści gotyckich, których ostatnio sporo się naczytał. Upiory, strzygi i wampiry, ulepione z robotycznego pyłu, mają uniemożliwić dalsze pomiary.

– Znam prostsze sposoby, bardziej naturalne – zauważył Marek. – Chociażby wściekły pies. Albo widły.

Później powiedziałem Markowi, że tego lata jednak nie będę miał praktykanta. Okazałem się dla Wiktoryna drugim wyborem, a gdy z pierwszą firmą wypaliło... Oczywiście chłopak mnie przeproszał, ja na to, że nic nie szkodzi, on – może w przyszłym roku, ja – zobaczymy, i zaśmiałem się pogodnie, choć chyba trochę smutno. Wiktoryn musiał coś wyczuć, bo nie pajacował jak zwykle, tylko szybko się zwinął.

– Będzie skanował Halleya.

Marek, wzburzony, oplotł mi przednią szybę.

– Z tymi pruszkowskimi partaczami?!

Pokiwałem głową.

– Bardzo mu na tym zależało.

– Na twoim miejscu cisnąłbym mu za płot te wściekłe roboty.

– Mam nadzieję, że jak wylądujemy, już ich nie będzie.

Właśnie dzisiaj miał przyjechać z ekipą facet z Wydziału Robotyki Humanoidalnej PW, kolega Wiktoryna. Choć ostatnio tyciroboty wyraźnie się uspokoiły, jeśli nie wchodziłem im w drogę, to ich sąsiedztwo było uciążliwe. Wciąż nie miałem gdzie wyrzucać elektroodpadów, a do magazynku ze sprzętem wchodziłem z ręką na sercu, szukając nowych dziur. Może zadzierzgnięcie bliższej znajomości z Wiktorynem przyniesie jakieś pozytywne efekty.

– Co jest?! – jęknąłem, podchodząc do lądowania.

Wokół kontenerów na śmieci i na miejscu postojowym dla pojazdów kołowych kręciło się kilkanaście postaci w różowych skafandrach służb zagrożenia robotycznego. Cała moja posesja oblepiona była taśmami ostrzegawczymi. Sprawa, widocznie, okazała się nie tak błaha, jak myślałem.

Posadziłem raketę, wysiadłem szybko i podbiegłem do pierwszego z różowych astronautów. Odesłał mnie do kolegi z ciemną naszywką na ramieniu.

– Pan Serafin, tak? – zapytał ten, ściągając hełm i poprawiając włosy. Był spocony i mocno podekscytowany. – To jest niesamowite, nigdy czegoś takiego nie widziałem. To cała nowa cywilizacja. Wyewoluowała tuż pod naszym nosem. Nazywam się doktor Witaj. Musimy ją chronić. Pana dom to ich naturalne środowisko. Nie możemy ich stąd zabrać. To odkrycie zasługuje co najmniej na Nagrodę Nobla. Zwróciliśmy się bezpośrednio do Ministerstwa Kultury Nieludzkiej i prokuratora generalnego o wystawienie nakazu eksmisji.

– Co?! – warknąłem gniewnie.

– Dobrze, że pan już jest. Proszę się spać. Wraz z nakazem eksmisji powinna przyjąć informacja o tymczasowym lokum dla pana. Przecież nie będziemy wzywać policji, prawda?

Koniec

